Rozmaitości

Dnia 17. Lipca N^{er.} 29. Roku 1841.

PRZYPUSZCZENIE SZTURMU

DO

MAZAGRANU.

Zdarzenie prawdziwe z teraźniejszéj wojny w Afryce.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca pozłacały szczyty góry Atlasu i przedłużały cień drzew aloesowych. Chłodny wietrzyk z nad morza przewiéwał i chłodził skwar płaszczyzny Mazagranu, odwilżaną śrébrnym strumieniem rzéki Miny, która połączywszy się z bystrym Szelifem, wody swoje w Śródziemne Morze posyła.

Jakieś okropne milczenie zalegało tę romantyczną równinę; tylko kiedy niekiedy ujrzałeś Beduina, który na żartkim rumaku śród sitowiem zarosłéj płaszczyzny, jakby duch jaki pojawił się, i znowu w dali zniknął. Na wojskowym gościńcu od Oranu i Azewu szedł zwolna konwoj z żywnością, przeznaczoną dla małéj załogi w obwarowanym Mazagranie. Tylko ciężkie stąpanie obładowanych mułów, tętent koni szaserów afrykańskich, którzy po bokach konwoj zasłaniali, i jednotonne odezwy bębnów małego oddziału Koluglisów, składających straż tylną, przerywały tę posępną ciszę.

Na zczerniałych, porozpadanych murach Mazagranu przechadzał się wolnym krokiem żołniérz francuzkiego batalijonu, z 123 ludzi złożonego, i trzymając broń w ręku, każdéj godziny wołał: *Sentinelle, prenez garde à vous!* Ciemność osiadała zwolna na uspioną ziemię, a w téjże chwili, kiedy posępny jéj zmrok okrywał wybrzeże Algiéru, wschodził na niebie w śrébrnym blasku księżyc, wierny towarzysz nocnego wędrowca, przez niezmierną, samotną południową puszczę. Wieczorna rosa kołysze się w milijonowych perłach po liściu woniejących mimozów i gałęzistego kaktusa. Krzewy te pędzone z ziemi żarem podzwrotnikowym, rosną bujno w całéj okazałości i okrywają ziemię dywanem najpiękniejszego wzoru.

Wewnątrz okopów w Mazagranie przed barakami, które dla załogi lichym tylko są przytułkiem, koczowali przy ogniu sierżant starszy Danielewski, porucznik Brandyni i kwatermistrz Müller. Każdy z nich był ziomkiem innego kraju. Niezbadanym wyrokiem przeznaczenia z rodzinnéj ziemi wygnane, znalazły się tu w dalekiéj części świata, trzy zacne, szlachetne serca, dla których nowa osada francuzka, nową ojczyzną stać się miała.

Tam, gdzie odwieczny Ren swémi nurty skrapia winogronne brzegi, była ojczyzna Müllera. Ukształcił on swój umysł i serce na uniwersytetach niemieckich. W krótkim czasie zmarł mu sędziwy ojciec, nie pozostało mu nic, coby go do rodzinnéj ziemi wiązać mogło; wewnętrzny popęd naglił go do szukania szczęścia w dalekim kraju. Przybył do Francyi, wstąpił tam w służbę, i z podoficera został kwatermistrzem w pułku, który przeciw Abd-el-Kaderowi wyprawiono.

W żyłach Brandyniego wrzała gorąca krew południowa, czarne oko jego błyskało ogniem, ciemny włos osłaniał piękne, wysokie czoło. Dzieckiem widział on nocne, ogniste słupy Wezuwijusza, i wrzące strumienie lawy; młodzieńcem patrzył na burzliwe fale wzdętego Oceanu. Ojciec jego był kapitanem kupieckiego okrętu *St. Angelo,* ale synowi nie zajaśniała pomyślna gwiazda! Nad głową jego zdawało się nieszczęsne panować przeznaczenie. Nie znał on swojéj matki, ojciec poległ w potyczce z korsarzem algiérskim. Od dzieciństwa do przygód morskiego życia przyzwyczajony, na wszystkie trudy zahartowany, w broni wyćwiczony, był Brandyni żołniérzem w ścisłém słowa znaczeniu. Umysł jego szukający przygód wojennych, zaprowadził go do Hiszpanii, tam wstąpił do legijonu cudzoziemców, i bił się o tron Izabeli; na niwach

Katalonii w wielu potyczkach dał dowody swojego męztwa, a ucierając się z gerylasami, odniósł niejedne ranę w górach Nawarry.

Gdy legija cudzoziemców poszła w rozsypkę, Brandyni wszedł w służbę francuzką i popłynął do Afryki, gdzie miał nadzieję, że przez waleczność i odwagę, wkrótce się wyższego stopnia dosłuży.

Danielewski zrodzony nad brzegami Wisły, zmuszony do opuszczenia swéj ojczyzny, szedł od miasta do miasta, od kraju do kraju jako tułacz. nakoniec, dostał się przez rozległe morze, aż pod niebo Afryki.

Tu ich zastaje powieść nasza; wszyscy trzéj siedzą razem przy ogniu i paląc fajkę, każdy z nich myślił o kochanéj, dalekiéj swojéj ojczyźnie! Danielewski opowiada właśnie towarzyszom o kilkuletnim pobycie swoim w *duarze* jednego arabskiego plemienia. Już jazda Kabylów jako znak zwycięztwa zatknęła na długich włoczniach kilka głów francuzkich, już słońcem ogorzałe ramię naczelnika Arabów wzniosło krzywy jatagan, by także i głowę jego rozłączyć z tołuwem, aż oto niespodzianie piękna Aisza, córka jednego z najbardziéj poważanych Marabutów, towarzysząc ojcu w świętéj wojnie przeciw *giaurom*, zasłania go rozwiniętym *burnusem*, jak gdyby skrzydłem anioła. Marabut i córka jego uważani byli od całego plemienia, jako święte osoby, a zabobonna wiara czciła w nich z pokorą rozkazy wielkiego proroka.

Piękna Aisza znana w całym okręgu, zacząwszy od puszczy Sahary aż do murów Algiéru, jako wierny wizerunek hurysek, przystąpiła ku niemu; jéj ognisty, przenikliwy wzrok spoczywał długo w wyrazistéj twarzy cudzoziemca, ujęła go za rękę, i zadrżała.

W czasie, gdy się jeszcze w około niego ogień karabinowy szérzył, wsadzono go spieszno na arabskiego rumaka, i pognano z nim czwałem przez trzęsawiska i krzaki. Przez upłynienie krwi z odniesionéj rany, do czego się mocny kłus konia jeszcze bardziéj przyczynił, wyczerpały się wszystkie siły jego; gruba mgła zaćmiła mu oczy, które się już jakby na sen śmiertelny nazawsze zamknęły.

Ale przyszedł do siebie i ujrzał się przed pomieszkaniem Marabuta w *duarze* wojowniczego plemienia. Ciało jego leżało na kolorowéj, z afrykańskiego sitowia uplecionéj macie, a głowę miał opartą na odziemku smukłego cedru.

Przed nim na elastycznem, włosiennem, purpurowémi sznurkami obszytém wezgłowiu, siedziała piękna Aisza. Wlepiła ona w niego swoje badające, ogniste oko. Gdy się przebudził, zachowanie się jéj okazało radośne wzruszenie czułéj duszy. Luba ta córka puszczy, z najtkliwszą starannością pielęgnowała ranę cudzoziemca, ujmującém pochlebieniem łagodziła gniéw ojca; często, gdy stary Marabut groźnym wzrokiem spojrzał na pojmanego giaura, w téjże chwili umiała wzrok gniewu, w łagodny uśmiéch zamienić.

Nieraz wychodziło plemię na świętą wojnę, ale już mu Aisza nie towarzyszyła; gdy bitni jeźdzcy odjechali, Aisza siedząc pod wełnianym namiotem, zdobiła smukłą swą kibić podług krajowego zwyczaju: to sciągała mocniéj w około jasnéj szyi nitki pereł, które się o piérwszeństwo ze śnieżną białością jéj zębów spiérały, to wiązała pyszny szal około głowy, to układała skrzętnie szatę w ponętne przeguby, i z miłym uśmiéchem przypatrywała się złotym ozdobom, które otaczając okrągłe jéj ramiona świetnością swoją, ciemnemu kolorowi pulchnéj jéj ręki, więcéj wdzięku dodawały.

Danielewski odzyskał już dawno swoje czérstwe zdrowie, ale był ciągle trzymany pod ostrym dozorem. Byłby on zapewnie przeniósł śmierć nad takie niewolnicze życie, gdyby Aisza nie była mu światłem śród ciemnéj zawiéruchy jego myśli! Ona jedna towarzyszyła mu, gdy pogrążony w smutném zadumaniu przechadzał się pod zielonem sklepieniem klonów, których cienie chaty *duaru* otaczały; ona była jego tarczą, gdy powracające hordy w odwet za poległych w bitwie swych ziomków, biédnego jeńca zabić chciały; ona była jego przytułkiem, jego obrończym jenijuszem, gdy mu jakie nieszczęście zagrażało.

Nietajno było walecznemu Polakowi, z jakiego powodu Aisza tak starannie nim się zajmowała, wiedział on dobrze, że tkliwa, czysta miłość zajęła się w sercu pięknéj dziewicy; również i serce jego na tak szczérą, poświęcającą się miłość, nie było oziębłe; a chociaż nie mógł mieć ku niéj tego przywiązania, jakie czuł ku swojéj oddalonéj oblubienicy, ku swym rodzicom, którzy w dalekiéj części świata za nim płakali; jednakże w sercu jego ocknęła się litość nad jéj uczuciem, a z litością rozwinęły się te trzy niebiańskie kwiatki: przychylność, wierność i poważanie.

W czasie gdy Aisza przywiązała się do niego z nieograniczoną uległością, na jaką tylko córka puszczy, to niewinne dziécię natury zdobyć się może, kiedy oddała mu serce swoje z tą namiętnością, która po nad przestrzeń i stosunki a nawet po nad grób sięga; wtedy i w duszy jego ozwała się szlachetna sympatyja, ocknęło się uczucie braterskiéj przychylności. Język Sławianina, zdolen przyswoić sobie z największą łatwością mowę każdego narodu, obeznał się już poniekąd przez

usta kochanki z starożytnym językiem wschodnim, a różane usta pięknéj Arabki, wymawiały już z wdziękiem niejeden wyraz francuzki.

W takich-to chwilach opisywał Danielewski przed zdziwioną dziewicą los swéj ojczyzny! Opisywał zwyczaje i obyczaje dalekich państw ucywilizowanych; Aisza zaś bujnémi kolorami ognistéj wyobraźności, opowiadała mu znakomity ród swych naddziadów, ich obyczaje, i opowiadała mu wojenne wyprawy swych plemienników.

Tak upłynął rok cały, a Danielewski jakkolwiek dokładniéj obeznany z członkami plemienia, był jednak ciągle pod dozorem trzymany, a wszelka nadzieja ujrzenia kiedyś Francyi, drugiéj swojéj ojczyzny, a przynajmniéj dostania się do Algiéru, zdawała się mu być tylko czczém marzeniem!

Jednego razu, wojownicy plemienia złączywszy się z wojskiem Abd-el-Kadera i działając z nim spólnie przeciw zastępom francuzkim, nie byli przez dni kilka w domu, a pod wieczór jak na skrzydłach wichru wrócili do *duaru*. Po ilości zabitych, których podług swego zwyczaju z bojowiska z sobą uwieźli, po jękach i zajadłości, wnosić było można, że potyczka bardzo nieszczęśliwie dla nich wypadła.

Z pośpiechem zwinięto namioty i zburzono chaty *duaru*, a nim jeszcze piérwszy promień poranku błysnął, już cała karawana spieszno umknęła w góry. Podobno pośpiech ucieczki ocalił Polaka, że się na nim za poniesioną klęskę nie pomszczono! Aisza zdawała się to poznawać, zniewoliła go spieszno wsiąść na konia, zarzuciła széroki *burnus* na jego ramiona i osłoniwszy mimowolnie jego głowę kapuzą, jechała obok kochanka, którego Arabowie w tém przebraniu poznać nie mogli.

Danielewski dowiedział się, że bagnety francuzkie zdobyły i zajęły Mazagran, niedaleko *duaru* położony, i że mieszkańcy puszczy ustępując przed nieprzepartą taktyką europejską, zmuszeni byli opuścić rodzinną zagrodę i cofnąć się w głąb ojczystego kraju.

Piérwszy raz powstała w nim myśl dostania się do swoich, ale też i po raz piérwszy uczuł żałość rozstania się z Aiszą! Rozmaite myśli krzyżowały się w jego głowie.

Stanąwszy u podnóża góry Atlasu i zabezpieczywszy się w ten sposób, że w potrzebnym razie wszelkie mienie i trzodę mogą uprowadzić ze sobą w góry, rozpoczęli Arabowie znowu żywą, zaczépną wojnę. Wiele plemion przybyło z głębi kraju, które połączywszy się z Kabylami i dzikimi Hadszutami, zaczęły znowu uderzać na obwarowane obozy cudzoziemców.

Zewsząd słychać było o zgrozie téj małéj wojny; nie darowano życia żadnemu Francuzowi, który na nieszczęście wpadł w ich ręce. Każdego głowa tkwiła jako znak zwycięztwa na włoczni nieprzyjaciela. Arab bił się za kraj swych przodków, za rodzinną swą ziemię, za swoje wiarę, żonę i dzieci; cudzoziemiec walczył za życie.

Danielewski z każdym dniem stawał się posępniejszym, umysł jego nie mógł oderwać się od myśli dostania się do swoich.

Aisza spostrzegła tę odmianę w kochanku, ale długo nie mogła dociec tego smutku przyczyny. Z tkliwą czułością ujmowała cudzoziemca w swoje pieściwe ramiona, a gdy badawczym wzrokiem spojrzała w jego oko, w którém posępna żałość i głęboki smutek zamieszkał; uroniła nie jednę łzę na jego dłonie, które jakby do modlitwy złożone, błagając Wszechmocnego o radę, na jéj kolanach spoczywały.

Nieraz opowiadał jéj Danielewski o swojéj kochance w oddalonéj ojczyźnie, o Helenie, która może już w grobie spoczywała!

Niewinna córka puszczy sądziła, że to było powodem smutku i żałości w człowieku, którego kochała, którego jak bóstwo uwielbiała. Szanowała jego uczucie i w rozognionéj piersi swojéj ukrywała płomień, który ją trawił. Jednego razu w słodkiéj chwili pieszczoty, oznajmił jéj Danielewski swoję tęsknotę, swoję chęć do ucieczki.

Byłto cios piorunu dla nieszczęśliwéj; rozstać się miała z tym, dla którego jedynie żyła! Nie trudno było dla niéj przeszkodzić mu w dokonaniu powziętego zamysłu, ale Aisza kochała go za nadto, aby miała patrzyć na jego usychanie w niewoli!

Z nim, z kochankiem swego serca, chciała przedsięwziąć ucieczkę! Jako niewolnica chciała leżéć u jego progu, jeżeliby w czasie, w dalekiéj swéj ojczyźnie, zastał swoję Helenę; chciała czuwać nad każdym jego krokiem, cieszyć się szczęściem téj, która swoim małżonkiem nazywać go będzie, i kochając go, przy nim umrzéć! Lecz cóż pocznie ojciec, stary Marabut po jéj stracie? Miałaż porzucić ojca, opuścić wrzący piasek puszczy, i nigdy już nie ujrzéć rodzinnych swych oazów? Natura, ta dobrotliwa nauczycielka, zaszczepiła w sercu każdego człowieka święte, nierozdzielne uczucie, które dziécię do ojca wiąże!

Aisza toczyła krwawą walkę z sercem i powinnością, i odniosła najpiękniejsze zwycięztwo.

Działo się to śród jednej z owych nocy, jakie tylko w podzwrotnikowych krajach na południu panują, gdy Aisza przyszła do namiotu śpiącego Polaka. Wzniosła była jéj postać, rozważny a

majestatyczny krok jéj, za pasem jéj szaty błyskał ostry gindżał. Być może, że spiącemu snuły się w myśli słodkie marzenia, bo łagodny, przyjemny uśmiéch osiadł na jego ustach, gdy się do jego łoża zbliżyła.

Przez odchyloną połę namiotu wkradało się przyćmione światło i oblewało mroczą bladością lice spiącego. Aisza ujęła go zwolna za rękę, a gdy Danielewski ocknąwszy się, chciał do niéj przemówić, przytknęła mu do ust palec i wyprowadziła zdziwionego, z namiotu.

W milczeniu przeszli oboje pomiędzy namioty *duaru*. Aisza prowadząc prawą ręką kochanka, lewą trzymała gindżał za pasem utkwiony, i troskliwie podsłuchiwała, ażali jakiego podejrzanego szelestu nie usłyszy. Jednakże wszędzie panowała spokojność. Zdolni do boju jeźdzcy puścili się ku Algiérowi, a kilku z pozostałych, spało spokojnie; miryjady gwiazd jaśniejących na lazurowém niebie, roniły czarodziejskie światło na ziemię; tu i owdzie obok spiących straży, spoczywały odżuwające wielbłądy, lub łyczakiem spętany rumak arabski parskał pasąc się na trawie.

Tak szli oboje. Danielewski nie mógł sobie wyjaśnić zamysłu swéj przewodniczki; jednakże jakby wyższą władzą zaklęty, dał się prowadzić potulnie.

Nareszcie zbliżyli się do kończyny *duaru;* Aisza wziąwszy swego towarzysza pod ramię, zboczyła po za lasek palm Delaibu, i tam się zatrzymała. Dwóch mężczyzn osłoniętych w fałdziste płaszcze, a trzymając w ręku włocznie z cedrowego drzewa, ostrém żeleźcem okute, z długą strzelbą na ramieniu, przechadzało się w głębokiém milczeniu. Byłato straż dla bezpieczeństwa *duaru,* przeciw niespodzianym napadom rozstawiona. Jeden z nich usłyszał zapewne lekkie stąpanie tych, którzy ku niemu się zbliżali, gdyż w okamgnieniu zrzucił z siebie kapuzę i pochwycił w rękę długą rusznicę.

Wtém z pod sklepienia széroko-listnych palm wystąpiła Aisza, i odsłoniwszy niewinne swoje lice przed brodatym wojownikiem, rzekła do niego w krajowym języku: »Abd-el-Hamidzie, spuść na ziemię swoję włocznię, złóż ręce i skłoń głowę przed służebnicą Islamu, która w poświęconém źródle wielkiego proroka, idzie obmyć swe ciało.«

Moslem odrzekł po cichu: *»Salem Aleikum,* i dozwolił spokojnie przejść po przed siebie.«

Poczém dostali się na otwartą, bujną trawą umajoną płaszczyznę przy pochyłości góry Atlasu, gdzie bystra Mina swój początek bierze.

Tu zatrzymała się Aisza, i wzniosła ku niebu oczy. Głośne bicie jéj serca oznajmiało wewnętrzną walkę. Strumień łez potoczył się po jéj licu, z najtkliwszém uczuciem ścisnęła lubego cudzoziemca w swoje ramiona, ucałowała go w ogorzałe od słońca czoło, i wskazując prawą ręką w dalekie strony, rzekła z żałością: »Uchodź najmilszy, teraz jesteś bezpieczny, dostań się szczęśliwie do swych braci! Wspomnij o mnie!«

Tak się rozstała. —

Świt zaranny pozłocił różanym rąbkiem grzbiet południowéj góry Diebel Dyrys, spaniale wzejszło z za-góry słońce, a piérwszy promień jego padł — na zranione serce!

»Tak« — rzekł Danielewski kończąc powieść swoję — »dostałem się do przednich czat francuzkich, a nazajutrz stanąłem tu u was szczęśliwie; już przez niemały czas przebywam z wami, ale postać téj arabskiéj dziewicy tkwi głęboko w mojéj duszy, i pokąd tylko serce we mnie bić będzie, dotąd jéj nigdy nie zapomnę!«

Na te słowa, trzéj wierni towarzysze podali sobie w milczeniu ręce, i — zrozumiawszy się nawzajem, udali się na chwilowy spoczynek.

* * *

Byłoto dnia 22go lutego 1840 roku. Właśnie oficer służbowy zwidzał rozstawione straże nocne. Północna cisza panowała w około; gdy oto na ostatnim okopie Mazagranu stojąca pikieta spostrzegła jakąś postać białą, żywym krokiem przez płaszczyznę idącą; przy blasku księżyca widzi, iż coraz bardziéj pospiesza, i do okopów warowni się zbliża.

Straż trzyma zbliżającą się postać ostro na oku, a gdy ta już na strzał pod okopem stanęła, wymierzywszy broń, donośnym głosem zawoła: *»Qui vive!«*

Na te słowa stanęła postać jak wryta; skłoniła głowę, i złożywszy na znak pokoju i uległości w krzyż ręce, postępowała zwolna coraz daléj, i tak przyszła aż do bramy okopów.

Nie minęło chwil kilka, nadszedł z patrolem sierzant — byłto Danielewski.

Skoro spojrzał na stojącą przed sobą postać, już nastąpiło wzajemne poznanie!

»Ratuj się szejku Chrześcijan, ratuj siebie i twoich braci!« rzekła słabym głosem strudzona, zadyszała Aisza; »ostrzega cię o tém miłość siostry! Już się zbliża ćma nieprzyjaciół tak nieprzeliczona, jak nieprzeliczony jest piasek puszczy Sahary, tak srogo - zjadliwy, jak jest srogim i zjadliwym tygrys w ciemnych jaskiniach tutejszych lasów!«

Danielewski znając ostrą karność wojskowéj służby, nie mógł ubiérać w szatę wyrazów uczuć wdzięczności, które się w sercu jego ocknęły;

jednakże bystry rozum jego przeniknął w okamgnieniu cały związek wypadków, które nastąpić miały. Jedném ściśnieniem ręki wyraził dziewicy wszystko, co czuł i myślał, a wydawszy oddziałowi potrzebne rozkazy, zaprowadził Arabkę do walecznego kapitana Lelièvre, komendanta warowni.

Umilkły na chwilę kroki nocnéj patroli, a w około znowu nocna cisza osiadła.

Lecz niedługo trwało, a już śród huku bębnów ze wszystkich stanowisk, rozległ się odgłos: »*Aux armes!*«

Załoga wyruszyła przed kwatérę kapitana; żołniérze i podoficerowie odchodzili i powracali z wielkim pośpiechem.

Worami ziemią napełnionemi zatarasowano bramy okopów; pomiędzy wałami powznoszono barykady. Waleczny kapitan prowadził sam wojsko plutonami na stanowiska. Dwa działa lekkiego wagomiaru, wychyliły ku południowéj stronie swoje śmiercią grożące paszcze.

Pozataczano we wszystkie kierunki wozy z amunicyją; porozdawano prochu i kul podostatkiem; słowem wszystko okazywało, że tu o coś ważnego idzie: że tu idzie o honor, śmierć i życie!

Ledwie się poranny brzask na niebie rozwinął, już z pośród mgły, która na płaszczyźnie osiadła, widać było wychylające się pojedyńcze orszaki jeźdźców.

Na wałach Mazagranu na przyjęcie niebezpiecznych gości, stało wszystko w pogotowiu, a na środku warowni powiéwała jako ochronne godło, chorągiew' francuzka.

Nareszcie jasny dzień rozlał swoje światło po okolicy, a całą széroką płaszczyznę zaległy zastępy hordy nieprzyjacielskiéj; w oddaleniu słychać już było okrzyk: »*Ałła!*« i tętent koni. Nie byłto sam Emir, stawiający czoło Francuzom, lecz szejkowie sprzymierzonych z nim plemion; spodziéwali się zdobyciem i zburzeniem warowni, sprawie Islamu i swego władcy, ważną wyświadczyć przysługę.

Już coraz bliżéj, jak chmura podstępował pod twierdzę nieprzyjaciel; każdym oddziałem dowodził szejk plemienia. Konni ubrani byli w białą, rzęsistą szatę, burnusem zwaną; na nodze mieli żółte, wschodniego kraju sandały, których rzemienie w około brunatnych, żylastych łytek się okręcały; powyżéj nich krótkie, u kolana spięte, a ugóry széroltie, jasnego koloru spodnie; na grzbiecie długą rusznicę, za pasem gindżał stalowy, i dwa duże pistolety tureckiego kalibru; u boku płytki jatagan, a w ręku długą włócznię.

Tak siedzą ci synowie puszczy na wietrznym arabskim rumaku. Siodło powléczone skórką jagnięcą, ma wprzód i w tył wzniesione wygięcie; strzemiona po obu bokach ostre, są bardzo krótko upięte, i zastępują miejsce ostrogi wtenczas, gdy jak wichr na nieprzyjaciela uderzyć lub przed nim uciekać mają.

Każdy wojownik wiezie z sobą na dni kilka pożywienie, a mały worek suszonego jęczmienia wystarcza na obrok dla szlachetnego zwiérza, który lekko i bez utrudzenia się, najprzykrzejsze odbywa pochody.

Piechota ubrana jest w krótkie, kolorowe kaftany; czerwony *fes* albo lekki turban, okrywa głowę; uzbrojona jest częścią krzywą turecką szablą, częścią karabinami z bagnetem, które, w dawniejszych zwycięzkich wyprawach, na nieprzyjacielu zdobyto.

Tak podstępują coraz bliżéj i bliżéj: nagle zatrzymują się. Już dają się słyszeć pojedyńcze wystrzały wysłanych naprzód Beduinów. Oddział jeźdźców dociéra dla rozpoznania okopów; z pośród szeregów piechoty, wynoszą drabiny niezgrabnie nciosane. Proporce z włosistémi buńczukami, i złote półksiężyce, powiéwają w powietrzu. Za jednym razem naczelnicy hordy wydają rozkaz do ataku; — okropnie-przeraźliwy okrzyk rozlega się w powietrzu, a jak żarłoczny lew na pewną pastwę, rzuca się 12,000 Arabów i Beduinów na okopy Mazagranu.

Jeszcze na nich panuje milcząca cisza; kapitan Lelièvre stoi niewzruszony na środkowéj maurytańskiéj wieżycy; w prawéj ręce trzyma dobyty oręż, a w lewéj dalowid. Niedaleko niego stoi Danielewski; Brandyni i Müller dowodzą wojskiem na wałach.

Z okropnym okrzykiem »*Ałła!*« zbliża się horda; postępuje aż na strzał do okopów; na skinienie kapitana błysnęły obadwa działa; ogień kartaczowy sprawił obfite żniwo, a wystrzał ręcznéj broni całéj załogi, podwoił skutek.

Już ziemia zasłana trupami, ale to jeszcze bardziéj rozpala fanatyzm Moslemitów. Z obu stron ogień nieustający; Arabowie przypuszczają szturm po szturmie, z pogardą śmierci wdziérają się na wały; ale skoro który nogą stanie na okopie, już pchnięty bagnetem, pada w znak, i spadając, obala własnych spółbraci, a ci od naciérającéj konnicy roztratowani zostają.

Coraz zacieklej i z większą rozpaczą sroży się nierówna walka. Stu dwudziestu i trzech Francuzów walczy z tysiącami Arabów, którzy dobrowolnie w tém przekonaniu na śmierć idą, że na drugim świecie w rajskim ogrodzie zmartwychwstaną, gdzie śpiéw, muzyka i tysiączne rozkosze ich otaczać, i gdzie im najpiękniejsze huryski, najsłodszym *sorbetem* służyć będą.

Znika dzień, ale w téj grze zaciętéj, w któréj śmierć kostki rzuca, z nocném milczeniem nie nadchodzi spoczynek!

Walka trwa nieustannie; a choć dla obliczenia straty swojéj, i uniesienia poległych, cofnie się jaki oddział synów puszczy z linii bojowéj, już się nocny odgłos Kabylów rozléga w powietrzu, i już nowo-przybyłe hordy plemienia Musaga-Beni, Salah i Mizra, trzymają zranionych Franków w nieustannym, śmiertelnym ogniu! Z okropną zaciekłością uderza tłum po tłumie na garstkę walecznych; już się zaczynają osypywać przestarzałe okopy, już w nich tu i ówdzi powstają wyłomy, już w nie tłumem cisną się szturmujący, lecz w téjże chwili witają ich kartacze, a zranieni Francuzi tłoczą w otwarte miejsca z piaskiem wory, i trupami swych towarzyszów, umacniają rozwalone barykady.

Jak jasna błyskawica świéci ogień karabinowy, grzmot jego trwa nieustannie; w coraz większą masę zbija się nieprzyjaciel, coraz potężniéj ciśnie się na okopy; jedno-tonnym hukiem sypią nań karonady grad kartaczowy. Od czasu do czasu świécący granat pisze łuk w powietrzu, i połączając się z śrebrnym blaskiem księżyca, rzuca magiczne światło na ten okropny, północny obraz śmierci!

Na szczycie twierdzy ciągle jeszcze powiéwa chorągiew trójkolorowa, i żadne jeszcze ramię nieprzyjacielskie nie ważyło się zatknąć półksiężyc na krwią ociekłych okopach.

Znowu wzejszło słońce i oświéciło kilka tysięcy trupów więcéj, i znowu zapadło, i było świadkiem tego, czego na jednéj stronie nieustraszona odwaga i honor, a na drugiéj fanatyzm i miłość ojczyzny, dokazać zdoła!

Tak zbliżał się trzeci dzień walki. — Do nowego, ostatniego szturmu uzbraja się nieprzyjaciel w najrozpaczliwszéj zażartości!

Dwa dni wytrzymał już mały zastęp Francuzów szturm nieustanny bez posiłku, napoju i spoczynku, i twardo bronił powierzonego sobie miejsca.

Waleczny kapitan Lelièvre śród największego niebezpieczeństwa nie tracił przytomności umysłu; własném męztwem zagrzéwał krwawo sprawowanego żołniérza, i zachęcał go do bohatérskiéj śmierci! Danielewski podobnież był nieustająco czynnym i pomagał wszędzie, gdzie tylko bystry wzrok jego pomyślną chwilę upatrzył.

Nie odstępowała go piękna Aisza. Pośród okropnéj rzezi i zaboju stała między wojownikami jak jenijusz życia!

Z szlachetném poświęceniem się zawiązywała rany nieprzyjaciół swéj wiary, i była bez ustanku w pomocy czynną.

Wschodzi poranne słońce, okrzyk *Ałła*, ten fanatyczny znak Arabów do boju, rozléga się w powietrzu; wszczyna się szturm nowy i sroży jeszcze okropniéj niż wprzódy; idzie tu lub wszystko zyskać lub utracić — idzie, o śmierć lub życie!

Garstka Chrześcijan zmniejsza się z każdą chwilą; huk dział rzednieje, szturmujący wdziérają się na wały po trupach poległych Moslemitów; już się mąż z mężem łamie; krzywa damascenka szuka drogi do piersi nieprzyjaciela, a bagnet francuzki przeszywa serce Saracena.

Teraz oto naciéra tłum nowy; starzec unicsiony fanatyzmem, jest jego naczelnikiem.

Świętą chorągwią plemion powiéwając trzyma jatagan w zębach; jak zażarty tygrys puszczy szuka krwawéj pastwy, wdziéra się na wały, a towarzysze jego z poświęceniem własnego życia, torują mu drogę!

Już się wdarł, już stanął na wale naprzeciw Danielewskiego. — Byłto stary Marabut, ojciec Aiszy.

Przez chwilę stoją obadwaj zadziwieni, jeden naprzeciw drugiego, już się ma rozstrzygnąć, czy na zdobytym okopie zamiast trójkolorowéj chorągwi, półksiężyc powiéwać będzie!

Starzec ani chce ani może się cofnąć; a Danielewski, nawet za nagrodę miłości jego córki, na jednę piędź nie ustąpi powierzonéj mu ziemi.

Tylko wtedy, jeżliby się naczelnik Arabów niezwłocznie poddał, mógłby mu Danielewski życie, a sobie honor ocalić.

„Zostań moim jeńcem, rzekł Polak do starca, a prorok weźmie w opiekę życie twoje.“

Marabut w odpowiedź machnął jataganem ponad głowę Danielewskiego, i już potężnym ciosem miał ją na dwoje rozdzielić, gdy w téjże chwili wyskoczył na wał Brandyni i odbiwszy zamierzony cios szablą, tak silnie trącił wtył starca, iż ten z wielkim pędem w dół spadłszy, nieszczęsną głowę swoje o kamienie roztrzaskał i rozlanym mózgiem, trupy swych braci zbryzgał!

W tymże samym czasie nadbiega Aisza na tę okropną zgrozę; poznaje niebezpieczeństwo kochanka, widzi téjże saméj chwili z okopów lecącego ojca, i pada na ziemię, jak nieżywa! —

Śmierć Marabuta sprawia popłoch pomiędzy synami puszczy; przestrach powszechny obleciał szturmujących, do szybkiéj ucieczki zwraca jazda swe parskające rumaki.

Teraz porwał Danielewski za trójkolorową chorągiew', huk bębnów się ozwał, śmiała wycieczka ma uwieńczyć zwycięztwo.

Kilkadziesiąt ludzi batalijonu wypada wyłomem, przebywa spieszno fosę napełnioną przyjaciół i nieprzyjaciół trupami, i puszcza się w pogoń za uciekającymi.

Konnica arabska odstrzéliwając, schroniła się za trzęsawisko; ale ci, którzy pieszo ocalić się chcieli, od stu wojowników dognanymi zostali.

Walczyć lub zginąć było ich losem. Już zwycięztwo przechylało się na stronę pocztu francuzkiego, aż oto konnica arabska niosac pomoc zwolennikom swéj wiary, wypadła znowu z po-za trzęsawiska.

Francuzi uformowali czworobok i powitawszy nacierających wystrzałami, najéżyli bagnety, konie berberyjskie zaczęły się spinać i zrzucać swoich jezdców, a po krótkiej chwili, znowu nieprzyjaciel poszedł w rozsypkę.

Wtém Danielewski spostrzega Araba niosącego znak półksiężyca, w około którego rozprószeni znowu zgromadzać się zaczęli; rzuca się nań jak rozjadły tygrys, wszczyna się walka zacięta — kula Araba omija Polaka, ten korzystając z tego przypadku, przeszywa go szpadą, i już wywija w powietrzu zdobytémi buńczuki!

Lecz gdy się obejrzał, spostrzega, że jest otoczony nieprzyjaciołmi, którzy nic mogąc już zapobiedz śmierci swego Agi, przynajmniéj pomścić go zamyślili.

Danielewski uderza jak piorun nową siłą na nieprzyjaciół, już dziesięciu położył trupem, ale i sam ciężkie odbiéra rany; już słyszy hasło w pomoc mu spieszących towarzyszy, gdy oto rozżarty Moslim utapia sztylet w jego sercu; przybywają spieszno towarzysze, lecz już zastają walecznego Polaka bez iskry życia, trzymającego mocno skrzepłą ręką zdobyte buńczuki.

Sława mu! poległ śmiercią bohatérską; nieprzyjaciel uszedł, a zwycięztwo przyznano jednogłośnie walecznemu Danielewskiemu.

Oręźni towarzysze zanieśli do twierdzy ciało jego, tam kapitan odpiął z własnéj piersi krzyż legii honorowéj i ozdobił nim pierś poległego rycérza.

Śród stłumionego odgłosu bębna i ponurego całéj załogi żalu, ozwały się trzykrotne salwy karabinowe, a sześciu żołniérzy spuściło ciało do grobu wraz z epoletami, na które umiérając zasłużył.

Noc pokryła ziemię swym czarnym kirem, a na miejscu, gdzie życie o życie walczyło, gdzie niejedno mężne, rycerskie serce bić przestało, osiadła znowu cisza ponura!

W trzy miesiące późniéj, w stolicy prowincyi afrykańskiéj, ozwały się dzwony katolickiego kościoła; biskup Algierski, przed którym niesiono infułę i krzyż z wizerunkiem Zbawiciela świata, w towarzystwie duchowieństwa wszedł do kościoła klasztoru panien zakonnych.

Wszystkie ławki były zajęte, na kurytarzu stał marszałek francuzki w świetnym mundurze z korpusem oficerów; — na przodzie przed wielkim ołtarzem klęczały zakonnice, modląc się za siostrę Aiszę, nowicyjatkę zakonu *des soeurs grises!* —

Na płaszczyźnie przed Mazagranem wzniesiono na rozkaz króla pomnik, na nim wyryto w wieczną pamięć imiona rycérzy w tym dniu poległych. — Na czele czytasz: Danielewski, Muller, Brandyui.

ZE LWOWA.

Właśnie opuściło prasę w drukarni J. Sznajdera dzieło: *DNIESTRZANKA, zbiór artykułów wierszem i prozą ku zabawie i nauce,* zebrany i wydany przez Stanisława Jaszowskiego. (Drobnym drukiem stronic 210.) Zawiéra następujące artykuły: 1) Opisanie pałacu w Podhorcach; przez Stanisława Przyłęckiego. 2) Uczta Kasztelana, powiastka wiérszem; przez Stanisława Jaszowskiego. 3) Czarny Tyn czyli Czorsztyn; powieść przez Stefanię F. 4) Poezyje Kazimiérza Józefa Turowskiego. 5) Wyimki z dawnych historycznych rękopisów. 6) Poezyje przez S. S. 7) Susceptant przemyski, gawęda starego szlachcica; przez Stanisława Jaszowskiego. 8) Różne różnych poezyje, jakoto Januarego Poźniaka, Piosnki serbskie i t. p. 9) Oblężenie Wiédnia przez Turków r. 1683, podług duńskiego p. Engelstoft. 10) Boginki, powieść gminna górali tatrzańskich z Opatowszczyzny; przez Ludw. Kamińskiego. 11) Krople miłości, powiastka gminna; przez Celestyna Wybranowskiego. 12) Do przeszłości, przez Stefanię F. 13) Kilka obrazów życia miejskiego; przez St. Jaszowskiego. 14) Rzéka Lepietnica, powieść gminna górali z Opatowszczyzny; przez L. Kamińskiego. 15) Zabawy literackie; przez St. Jaszowskiego. 16) Poezyja historyczna—poezyja narodowa; przez K. J. Turowskiego. 18) Relikwija po Antonim Malczewskim, autorze *Maryi.* 19) Notatki biblijograficzne. 20) O obrazach Rafała Hadziewicza w Starzawie (obwodzie przemyskim); przez St. Przyłęckiego. 21) Pamiątki z Włoch. 22) Kontrybucyja przez Francuzów r. 1806 na Wiédeń nałożona. (Cena 2 złr. mon. konw.)

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 28. i obejmuje: 1) Zasady służące do ułożenia systematu polowego. (Dokończenie). 2) Do jakiego stopnia można podnieść dochód z owczarni. 3) Siemana aparat gorzelniany. 4) Nowo-wynalezione paliwo *karbolein* zwane. 5) O niezbędnéj potrzebie zbudowania kolei żelaznéj wzdłuż kraju naszego. (Cigg dalszy.) 6) Olbrzymia piwowarnia w Londynie. 7) Poprawne knoty do lamp. 8) Nadzieja dla naszego handlu zbożowego.

Do grona piszących ziomków przybywa nam nowy poeta pan Witalis Kukułka, który wkrótce w jednéj z tutejszych drukarń ma wydać poezyje swoje pod tytułem: *Miłostki poety.*

Z Wilna: Opuścił prasę poszyt drugi tomu 2 *Obrazu biblijograficzno-historycznego literatury i nauk w Polsce,* przez Jochera. Jestto poszyt siódmy całego dzieła i zawiéra dalszy ciąg wiadomości biblijograficzno-historycznych o biblijach, piśmie świętém i ojcach kościoła w Polsce. Ciekawy tu jest opis przekładów polskich pisma św. z podziałem na cztéry wieki i przydaniem tłumaczeń, które i w obcych mowach w Polsce wychodziły. Poszyt ósmy i następne, mają prędko po sobie następować. — Ze *Szkiców* Kraszewskiego wyszła powieść siódma: *Ostatnia z książąt Słuckich*, dwa tomy. — *Rusałka*, część 4, przez A. Grozę, (pod prasą.) — Wreszcie *Pan Kasztelan*, powieść historyczna wiérszem z wieku XVIII. przez Michała Jezierskiego, została właśnie wydrukowaną.

Wołoszczyzna ma obecnie ośm drukarń, podczas gdy w roku 1829 dopiéro jednę tylko miała; pięć z tychże jest w Bukareszcie, jedna w Buzeo, jedna w Krajowéj a jedna w Ibrailowie. Dzienniki i pisma peryjodyczne przed rokiem 1830 nie wychodziły całkiem na Wołoszczyźnie, teraz zaś sześć ich wychodzi. Ztém wszystkiem liczba czytelników w tém księztwie jest jeszcze bardzo mała. Roku 1836 założono publiczną biblijotekę w szkolnym gmachu w Sawie; liczy ona już 11,000 tomów i jest codzień od godziny dziewiątéj do dwunastéj z-rana, a od trzeciéj do szóstéj po południu otwartą. — Wołoszczyzna ma 22 miast, 15 miasteczek i 3560 włości, roku 1837 liczyła 339,322 domów, a 1,751,182 mieszkańców.

Człowiek chodzący po wodzie. W Sztokolmie rozwiązano nakoniec to trudne zadanie chodzenia po wodzie. Kilka tysięcy widzów przypatrywało się

niedawno człowiekowi, który w wytwornym letnim ubiorze z zapaloném cygarem w ustach, z długim do wiosła podobnym kijem, mając na każdéj nodze małe, wązkie, sześć do siedmiu szwedzkich łokci długie a niemal 4 cale szérokie czółenko, przechadzał się po jeziorze Melar. Małe czółenka te, na których nogi tego śmiałka spoczywały, podobne są do drewnianych łyżew, zwanych *skidor* po szwedzku, którémi mieszkańcy krajów biegunowych, po śnieżnych i lodem okrytych bagnach i górach się przeprawiają. Wynalazcą tego sposobu przechadzania się po wodzie jest porucznik Höokenberg. Wszelako jemu należy tylko zaszczyt pomysłu, wykonanie zaś tamtejszemu w szkole pływania nauczycielowi Gjörke, który jednakże zaraz podczas piérwszéj próby w oficerze nazwiskiem Benzelstiern miał spółzawodnika. Widok tych po wodzie przechadzających się ludzi, zwłaszcza gdy stojący w oddaleniu, wodnych łyżew nie widzi, jest istotnie w najwyższym stopniu zadziwiający. Porucznik Höokenberg podał do rządu na swój wynalazek o przywilej swobody.

Nowy czasomierz. Dziennik *Atlas* donosi, że sławny angielski fizyk profesor Wheastone wynalazł czasomierz, który elektrycznością tak dokładnie wskazuje sekundy, minuty i godziny, jak najdroższy chronometr, który kiedykolwiek wyszedł z rąk angielskiego zegarmistrza. Każdemu wiadomo jak kosztownémi są chronometry; profesor Wheatstone przedaje swe narzędzie, które obecnie w Londynie w nowym klubie reformy widzieć można, po dwa funty szterlingów.

Słów kilka o pojedynku. Benjamin Franklin napisał pod dniem 17go lipca 1784 r. do doktora Perceval: »Dziwić się wypada, że morderczy zwyczaj, który wpan w rozprawach swoich tak gruntownie potępiasz, jeszcze ciągle jest panującym. Przedtém dawały się uniewinniać pojedynki, gdyż służyły do rozstrzygnienia procesów, ponieważ mniemano, że Opatrzność w każdym pojedyńczym wypadku na stronę prawdy i prawości zwycięztwo przechyli. Teraz pojedynki nic nie rozstrzygają. Jeden powie coś, a drugi ogłosi to za kłamstwo. Więc pojedynkują się; atoli, którykolwiek z nich na placu padnie, spór zostaje nierozstrzygniony. W téj mierze opowiadają zabawną anegdotę. Pewien jegomość siedzi w kawiarni i prosi drugiego, aby od niego się odsunął. — »A toż dla czego?« — »Ponieważ wpan cuchniesz. A to jest obraza, wyzywam wpana.« — »Dobrze, przyjmuję wyzwanie, kiedy koniecznie o to chodzi, ale nie widzę, ażeby to sprawę tę polepszyć miało. Bo gdy ja wpana zabiję, tedy być może, że wpan jeszcze bardziéj cuchnąć będziesz, niż teraz, a jeżeli mnie zabijesz, tedy obadwaj bardzo nieprzyjemnie cuchnąć będziemy.«

Sposób myślenia prawdziwie amerykański. W Washyngtonie, gdzie jak wiadomo jeszcze nie zniesiono handlu niewolnikami, występował Forrest, najsławniejszy tragik Stanów Zjednoczonych, w kilku rolach gościnnych i na piérwszy występ wybrał Otela Szekspira. Na drugi dzień po przedstawie odezwały się wszystkie dzienniki, a *Native American* poczytał dramat, w którym Murzyn jest kochankiem i małżonkiem białéj damy, za całkiem nieprzyzwoity do przedstawy. Mniemał to być urazą, któraby każdego białego obchodzić powinna, i która na najsurowsze skarcenie zasługuje. »Gdyby Szekspir«, tak kończy ten artykuł, »przez które z państw południowych był schwytanym, pewnieby go w mazi umaczano i w piérzu tarzano, za to, że tę sztukę napisał.« Gdy Forrest zapowiedział, że w *Gladiatorze* w roli Spartaka wystąpi, obruszył się na to cały Washyngton, ponieważ w tym dramacie podnoszą niewolnicy bunt przeciw swym panom i uwalniają się.—Tegoż wieczora niewolno było ani niewolnikom ani kolorowym iść do teatru, z którego w ogóle wszyscy kolorowi tak wolni jako też niewolnicy są wyłączeni. Bywają oni tylko czasami do teatru wpuszczeni, i to na galeryję tylko, gdzie zupełnie od białych są oddzieleni.

Coś podobnego jest i u nas w zwyczajn. Pewien angielski podróżny, który w londyńskiém *Athenaeum* z dnia 22. maja r. b. umieścił szkice o Wiedniu i Wiedeńczykach, czyni następującą uwagę: »Przechadzając się po wałach *Bastay* zwanych, dziwiłem się nieraz, że damy wiedeńskie, które między sobą po niemiecku mówią, w okamgnieniu rozpoczynają rozmowę francuzką, skoro w pobliżu siebie cudzoziemca spostrzegą. Jestto bardzo brzydka afektacyja!« — »My chcielibyśmy tę uwagę« mówi jeden z dzienników wiedeńskich, »złotémi wydrukować głoskami i przesłać ją w różowych kopertach wszystkim pięknym Wiedeńkom, aby się dowiedziały, jak nieprzyjemne wrażenie na cudzoziemców ich obczyzna wywiéra!!«

Drogie pocałunki. Przed sędzią pokoju piątego obwodu w Paryżu, wydarzył się wypadek następujący: Narcyz: »Mości sędzio, jestem dramatyczny artysta i piérwszy kochanek w teatrze przy Bulwarze. W rolach moich muszę często okazywać się bardzo namiętnym; atoli mój ogień, zapał i gorliwość na moję szkodę obrócić pragną.« — »Jako?« zapytał sędzia. — »Oto masz wpan wiedzieć, ja zarabiam moim talentem sto franków miesięcznie, a teraz mi sto pięćdziesiąt fr. kary zapłacić każą.« — »Za co?« — »Za pocałunki. (Śmiech) Sto pięćdziesiąt franków za pocałunki od jednego człowieka, to przecież za wiele (znowu śmiéch.) A jednak obecny tu kolega mój, pan Voisin, ośmiela się żądać odemnie zapłaty.« — »Jestto rzecz bardzo naturalna«, ozwał się tenże. »W każdym teatrze są ustawy, w których dokładnie wyrażono, że jeżeli który artysta w roli ma pocałować damę, powinien to tak uczynić, aby się tylko zdawało, że ją całuje. Ktoby zaś istotnie pocałował artystkę bez wyraźnego jéj zezwolenia, ten pięć franków kary za każdy całus, a półtrzecia franka za każdy uścisk zapłacić winien. Pan Narcys, zamiast na pozór, uściskał istotnie moję żonę dziesięć razy, to wynosi 25 franków. Następnie pocałował ją dwadzieścia i pięć razy, a zatém 150 franków jest winien.« — »Jam tego bez zezwolenia żony wpana nie uczynił, a więc nic wpanu nie jestem winien.« — »Żona moja utrzymuje przeciwnie.« — »Przecież wpan nie możesz żądać tego, aby mu ona w téj wierze prawdę powiedziała? (śmiéch powszechny). A więc zeznanie wpana nie ma wagi.« — »Ja żądam zapłaty«, powtórzył obrażony małżonek; »taki jest zwyczaj teatralny.« — »Jeżeli tak«, przerwał mu Narcyz mowę, »więc pogódźmy się po przyjacielsku, a ja wpanu podam sposób na to.« — »A to jaki?« — »Wpan utrzymujesz, żem żonę jego dwadzieścia i pięć razy pocałował?« — »A tak jest.« — »No, otóż ja poddaję się ustawom teatralnym, niech ona mnie nawzajem dwadzieścia i pięć razy odcałuje.« (Głośny śmiéch.) — Sędzia odesłał obie strony do dyrektora teatru, aby ten spór załatwił.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.